



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



PIUS IX.

Najwyższy pasterz ludów katolickich, papież Pius IX, umarł w Watykanie dnia 7 Lutego b. r., syt lat, trosk i walki. Namiestnik Chrystusowy, kochającego serca, pokusił się o przybliżenie dla ludzkości — królestwa Bożego — zapragnął otworzyć światu erę pokoju, przez prawo miłości i zjednoczenia braterskiego, i jako postać historyczna Pius IX, jasnieć będzie na dziejowej kartce swego wieku w świetle dziwnie pięknym, łagodnym i serca podciągającym, z nigdy niezmąconym charakterem czystości i szlachetności serca, w aureoli wielkich cnót chrześcijańskich: niewyczerpanej dobroci, łagodności i miłości bliźniego. Każda chęć jego serca była zawsze dobrą, czystą, nacechowaną duchem ofiary i poświęcenia, a w całym długim żywocie nie występuje nigdy własne ja jego, wielone w egoizm osobistej ambicji, w osobiste pożądanie chwały, tryumfu panowania. Dlatego też był zdolnym być tak tkliwie dobrym, zacięłą namietnością nigdy nie wzruszonym, do pasterskiego błogosławieństwa zawsze wyciągnięte ręce trzy-



Pius IX, Papież.

mającym. Urodzony d. 13 Maja 1792 r. w Sinigaglia w Państwie Kościelnem, ze starożytnej rodziny hrabiów de Mastai-Ferretti, dzieciństwo już miał wzruszone niepokojami tych dwóch prądów, wśród których życie jego całe było walką bolesną, zapasami ciężkimi. Dziecko widziało włoską swą ojczyznę w rękach obcych, szarpaną przez dwie potęgi: Francję i Austrię; rosnące chłopię odbierało umysłem wrażenia sprzeczne: wielkie idee braterstwa ludzkości stawały się pogaństwem w nadużyciu ich namietnem, zmateryalizowanym; społeczeństwa wrzące bojem, chciały się z jednej strony obywać bez Boga, z drugiej Boga tego imię usiłowały łączyć stronnictwo z ciemnotą, uciskiem, niechrześcijańskim panowaniem wyłączności i przywileju. A szlachetna dusza młoda mieszkała w słabym, niemocnym ciele, młodzieńcze sposobiący się do zawodu wojskowego, zwrócił się do służby innej, do kapłańskiej służby ołtarza i po odbyciu studiów teologicznych w Volterra w Toskanii, został wyswięcony na księdza w 1819 roku a pierwszy krok na tej drodze nosi już cechę ofiarniczą. Wysłany z misją katolicką do Chili, przebywał na amerykańskich kresach chrześcijaństwa przez lat kilka, a po powrocie do Europy, do ojczyzny, zajął znowu stanowisko, w którym z charakterem kapłaństwa łączy się szczególny charakter poświęconego miłoś-

dzia: został jałmużnikiem przy szpitalu Ś. Michała w Rzymie. Leon XII mianował go arcybiskupem Spoletańskim w 1827 r.; wkrótce po wstąpieniu na tron papieżki Grzegorza XVI zamienił tę godność na biskupstwo Imoli w Legacyach (1832 r.). W 1840 roku został kardynałem di San Pietro Marcellino, a potem członkiem Ś-go Kolegium, gdzie poprzedziła, a zarazem wprowadziła go sława wysokiej zacności charakteru i ewangelicznego pojmowania kapłańskiego urzędu. Gdy w 1836 r. przebywał w Neapolu jako nuncjusz papieżki, a wybuchła tam właśnie cholera szerzyła się szczególnie między klasą biedną, biskup Imolitański z najwyższym chrześcijańskim zapaściem się, z najwyższym chrześcijańskim poświęceniem niósł pomoc ubogiemu ludowi, a ofiara jego zaszła tak daleko, że sprzedał kosztowne sprzęty i powozy swoje, nie chcąc jeździć w złoczonej karecie nuncjusza, gdy nędzna rzesza braci w Chrystusie padała na bruku ulicznym bez należytego ratunku. Na tle ówczesnego społeczeństwa neapolitańskiego, na czarnym tle nędzy i opuszczenia klas ubogich, takie czyny, taka ewangeliczna cnota odbiła się jak jasny promień słońca, i cała Europa zwróciła uwagę na tego kapłana, Chrystusowego z ducha a nie z litery samej. Później już, jako papież, zarobił sobie u ludu rzymskiego na nazwę: *Anioł z Watykanu*, lecz i wtedy zapewne niejedne usta nazwały go aniołem, bo jak anioł Boży schodził na padół nędzy i cierpienia, niosąc ze sobą ratunek, ulgę i pociechę. Za czasów kardynałstwa swego Mastai Ferretti wzmocnił i rozszerzył jeszcze tę dobrą sławę, otaczającą jego osobę; dał się poznać jako człowiek szlachetnych zamiłowań w nauce historii, w sztuce; zostawszy papieżem założył w pałacu Laterańskim muzeum sztuki chrześcijańskiej, odbudował bazylikę Ś-go Pawła, odkrył i zbadał chrześcijańskie katakumby Rzymu. Światły, rozumny, ożywiony najszlachetniejszymi uczuciami patriotycznymi jako Włoch, najpodnioslejszym duchem ewangelicznym jako ksiądz, stał się kochanym przez ubogi lud Rzymu, szanowanym przez jego klasy wyższe i po zgonie Grzegorza XVI obrany papieżem d. 16 Czerwca 1846 roku, dostał w dłoni klucze Ś-go Piotra, siadł na stolicy apostołskiej wiecznego miasta w potrójnej koronie świętości i władzy namiestnika Chrystusowego.

Podług zwyczaju poprzedników swoich, Ojciec Święty kościoła powszechnego musiał zostawić po za sobą osobiste i rodowe miano swoje; to też Jan Marya Izidor Mastai-Ferretti staje się odtąd Piusem dziewiątym, a sama ta nazwa ma już znaczenie tkliwe i miłosne, albowiem *Pius* w łacińskim swym źródłosłowie oznacza pobożnego w uczuciach synowskich, kochającego, czczącego grunt, z którego wychodzi. Zgodnie ze znanym swym charakterem nowy papież rozpoczął panowanie od czynów apostołskiej świętości, a pierwszym aktem władzy jego była powszechna i zupełna amnestya za przestępstwa politycznej natury, łaska, z której skorzystało 6,000 więźniów i 18,000 wychodźców, a zsumowawszy to razem zrozumieć można ile rodzin, ile ust błogosławiło Piusa IX, jaka miłość otoczyła go w koło. To też w ślad zatem rozpuścił papież przyboecną gwardyę najemnych Szwajcarów, zmniejszył dwór swój, zaprowadził oszczędności w wydatkach tego dworu, łącząc to jednocześnie z reformami wewnątrz administracji i oświecenia publicznego, z rewizją i poprawą prawodawstwa cywilnego i kryminalnego. Postanowiono wprowadzenie zmian do kodeksu rzymskiego, zaczęto tworzyć muncypalne miast zarządy, wprowadzono w nie zasadę wyborów i wogóle ideę postępu, rozwoju dobroczynnego w całą działalność maszyn rządowej. Lecz Pius IX miał w piersi szlachetnie bijące serce i nie mógł pozostać nieczułym na to, co wzruszało włoską jego ojczyznę. Była to chwila świtu dla odrodzenia Włoch, chwila wielkich wysiłków narodu włoskiego dla zjednoczenia się, wydobycia z pod władzy Austrii, i papież, otoczony miłością ludu, czczony za usiłowania swe szlachetne, aby wolnością, na gruncie idei chrześcijańskich rozwiniętą, zasyć i uszczęśliwić wszystkich, papież taki był niby ziszczeniem dawnych marzeń Giobertego, aby rzymska stolica papieża, stała się stolicą Włoch zmartwychwstałych, a papież najwyższym sfederowanym Włoch naczelnikiem. Wzrok Piusa IX nie odwrócił się od tego wzniosłego planu, który mu przedstawiano, sam go może piastował, stawiając

go przed sobą w świetle idealnego blasku; ale dwa skrajne stronnictwa rozrywające Włochy: gwałt namiętności demagogicznych i uparta zacieklność partii wstecznej, która w Austrii i jej przemocy podpory swej szukała, starły się nieszczęśliwie u stóp tronu papieżkiego i Pius IX pozbawiony został nagle tego gruntu chrześcijańsko-spokojnego, na którym jedynie mógł działać. Przewroty polityczne pozbawiły Piusa IX świeckiego państwa; pozostał jedynie duchowym władcą ludów i serc katolickich; przebył przytem wiele trosk, walk, wiele boleści osobistych: przecież wysoka czystość i światobliwość jego duszy, w której nie zamieszkała nigdy żadna osobista, samolubna żądza, i nie stała się zacieklnością na nic nie baczącą, jego światły i rozległy umysł, uratowały od uderzenia o skały niebezpieczne nawet Piotrową i dlatego śmierć jego budzi obecnie żal tak ogólny.

Jeżeli w czasie dawniejszych, politycznych jeszcze działań Piusa IX, niewymownie wspaniały charakter ma jego wezwanie zwrócone w 1849 roku do cesarza austriackiego, aby w imię sumienia, w imię bojaźni i miłości Boga, ustąpił dobrowolnie z dzierżaw włoskich, o tyle wzruszającym i tkliwym jest jego ostatni akt działalności kapłańskiej i papieżkiej: zdjęcie exkomunikacji z Wiktora Emanuela w chwilach jego ostatnich. Umiera, rozstaje się z życiem ziemskim ten król-rycerz, który dopomógł dokonać, który więc dokonał odrodzenia Włoch, a cięży przecież na nim klątwa, z którą dusza jego czyż ma stanąć przed sąd Boga? Serce Ojca Świętego się wzrusza, sam na śmiertelnym już łożu, posyła królowi włoskiemu przebaczenie i błogosławieństwo, a w tym czynie najwyższej dobroci serca skupia się niejako i uwidatnia cały charakter Piusa IX: cała szczerość jego religijności, cała chrześcijańskość jego pięknej, czystej istoty. Zda się, iż śmierć czekała ze zgonem, aby mógł dokonać tego czynu, który był testamentem jego moralnym, dodaniem uzupełniającego rysu do tej postaci światobliwie szlachetnej.

Pius IX był w kole wieków 257 następcą Piotra Świętego na stolicy apostołskiej, i rządził na niej najdłużej ze wszystkich papieży, bo lat 32. Stare przepowiednie przygotowały dlań przydomek *Krzyż z krzyża* i niósł też on wraz ze sztandarem Chrystusowego namiestnictwa w dłoni, krzyż Chrystusowy na ramionach. Zmęczony był bardzo i sędziwy; odszedł na spoczynek wiekuisty, zamykając niejako ten orszak wielkich ludzi włoskich z epoki odrodzenia, wśród których pozostanie na zawsze szlachetną postacią, błogosławiącą z wyżyn Watykanu szlachetne ludzkości pragnienia.

Marya Ilnicka.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Taniec wszakże przeciwny się dosyć długo. Zaledwie ją posadzono, pod pozorem odpiętej falbany p. Leonilla zbliżyła się do p. St. Aubin i pociągnęła ją do kąta.

— Proszę cię — to historia! — zawołała.

— Której ja bardzo jestem rada, — odparła Francuzka, — chłopiec zbliża jeszcze ładniejszy niż zdaleka. Ma w sobie coś tak szlachetnego, rycerskiego, jakby jaki bohater romansu — a jak mówi po francuzku!

— Ale gdzież się to mogło po francuzku nauczyć! z pewnym rodzajem udanej pogardy i lekceważenia zaczęła Leonilla.

— A, tego ja nie wiem jeszcze — odpowiedziała Francuzka; ale, że będę wiedziała, za to ręczę, bo ja przecie nie mam go powodu unikać! Co mi tam!

Panna Leonilla zrobiła minę dwuznaczną.

— Pięknie-by było, gdyby tatko się dowiedział, że ja mu rękę podała w tańcu! Szarpnęłam ją i wyrwałam natychmiast, — mówiła sędzianka.

Pani St. Aubin się uśmiechnęła.

Nachyliła się do uszka różowego panny i poczęła w nie żywo sypać coś bardzo tajemniczego.

Sędzianka się zarumieniła, ramionami kilka razy wzruszyła pogardliwie; oburzała się niby, ale wśród tej rozmowy powiodła po sali oczyma, spotkała natrętny wzrok syna p. Strukezaszycy, odwróciła się, dając mu poczuć, że na nią patrzeć nie powinien, i — na tem się skończyło.

Odechodzącej Francuzka szepnęła:

— Myśl sobie jak chcesz, ale codo mnie, słowo daję, niema tu ani jednego, którego by przy nim można postawić — gdyby się tylko przebrał po francuzku!

Tymczasem już „Mazowieckiego“ grano i pary się ustawiały. Baron, któremu wpadła w oko sędzianka, choć w tym tańcu nie był biegłym, ufając temu że barbarzyńskich skoków wnet się nauczy, zaprosił ją. Odmówić nie mogła. W drugim końcu sali, Erazm, nie myśląc tańcować, siedł spokojnie, gdy ładniuchna pani Wiśniewska, znowu mu białe pokazała ząbki i sama mu rączkę podała.

— Jak Boga kocham, chodź pan zemną, tancerza nie mam!

Jak tu takiej ślicznej paniusi odmówić było można, mając lat dwadzieścia?

Gdy w sali sposobiono się do tańca, Czemeryński nie opuszczał na chwilę grafów niemieckich, i coraz mu łatwiej szła z nimi rozmowa francuzka, bo się śmiało ratował polskimi wyrazami. Ponieważ uważał, że baron przysiadł się do jego córki, chcąc się o jego procedurę rozpytać, jednego z grafów zagadnął z polska po francuzku: *kto go rodzi?*

Przetłómaczył to wcale zgrabnie — *qui le naît?* powtórzył razy kilka; zaczęto się śmiać. Czemeryński po raz pierwszy się jakoś skonfundował; poczuł, że mu w gardle zaschło i postanowił odwilżyć je winem. Poszedł więc do wiadomej izby *ad hoc* przeznaczonej, w której siedział Strukezaszyc.

Dyabeł, który nigdy nie śpi, rzucił, że w tejże chwili Strukezaszycowi zrobiło się niezmiernie gorąco i zapragnął się ochłodzić. Wychodził właśnie, gdy oko w oko, na ciasnej ścieżce, pozostałej wśród tłumu, nieprzyjaciele się spotkali. Strukezaszyc, który był zawsze panem siebie, usta zaciśnął, głowę podniósł i nadał się, ale przystanął.

Czemeryński zachnął się.

Zmierzyli się hardo oczyma.

Z oczów Hojskiego nie można było nie wyczytać, oprócz:

— Czekaj, kochanie — dam ci się ja we znaki.

Czemeryński zdawał się mówić:

— Precz-że mi z drogi, szerepetko.

Ani jeden ani drugi ustąpić nie myślał.

Sędzia, do rozpacz przywiedziony, bo zwracać się wcale nie myślał, na głos dziwacznie prychnął. W tem prychnięciu było coś tak groźnego, że wszyscy oczy zwrócili. Strukezaszyc, usłyszawszy to wyzwanie odprychnął, ale jeszcze dobitniej, z poświstem.

— Pfu! pf! — sapał Czemeryński.

— Pfu! pf! — prześladować się go zdając, prze-drzeźniał Strukezaszyc.

Dał się sędzia, nadymał się przeciwnik, tupnął nogą jeden, odtupywał drugi.

— Hm!

— Hm!

Któs zwrócił na ten konflikt grozący uwagę Podkomorzego, który, w sam czas nadbiegłszy, Czemeryńskiego za rękę pochwycił, i pod pozorem pilnej sprawy odciągnął go w bok trochę. Korzystając z tego Strukezaszyc, bardzo wolnym krokiem, z rękami w kieszeniach, począł mijać przeciwnika. Wtem Czemeryński się odwrócił groźnie; Strukezaszyc stanął.

Podkomorzy, przestraszony, gwałtem prawie za rękę chwyciwszy sędziego, poczęł mu coś szeptać do ucha, i Hojski dalej spokojnie, flegmatycznie się posunął. Buchowiecki w ciągu tej groźnej kryzysu spotniał jak myśz; ale wszystko zostało szczęśliwie przezwyciężone i skończono.

Dodano Strukezaszycowi na całą resztę wieczora

ła, przybocznego stróża, obawiając się nowego starcia.

Czego jednak nikt naówczas ani przewidywał, ni się mógł spodziewać, to, że w tym ogromnych rozmiarów mazurze, gdy się poczęły mieniać pary, mężczyźni i paniami, Erazm, tańczący wesoło z p. Wiśniewską, która ze ślicznego tancerza swego niewymownie była szczęśliwa — nagle w wirze skaczących, płaczących się, podających sobie ręce i rzucających, znalazł się przy p. Leonilli. Panna czy się nie postrzegła, czy zapóźno go poznała, podała mu rączkę: Erazm ją chwycił i poszli razem.

Była to najpiękniejsza para na całym weselu; ale gdy ją ujrzała mała pani sędzina, zrobiło się jej słabo, krzyknęła:

— Ach—i omdlała.

Rzucono się ją ratować, gdy już Erazm wrócił do swojej p. Wiśniewskiej, która pół-żartem szepnęła mu:

— O! już wacpana teraz nie dam i nie puszcę — proszę mi nie robić — niewierności! (Było to z francuzka, ale pochlebnie).

Po mazurze, St. Aubin, której oka nie uszło, że Leonilla zmuszona była przetańcować z synem pana Strukezaszyca, przybiegła do wychowanki.

Pierwsze słowo Leonilli było (ale na ucho):

— A! żebyś wiedziała jak tańczy!

Zdziwiło to p. St. Aubin.

— No—ale cóż—bo było począć, proszę cię—dodała żywo sędzianka. Na środku sali wpada na mnie jak jastrząb, porywa za rękę i niesie. O ma!—mnie nie omdlała. Ale, powiadam ci! jak tańczy!

— Wiesz, że sędzina dostała mdłości! — odparła St. Aubin — zlekka się, aby p. sędzia nie zobaczył, bo-by był wpadł i awanturę zrobił.

— Tato nie nie widział, — odparła Leonilla — i po cóż mu to mówić! No—przypadek! Cóż tam—ale jak tańczy! — powtórzyła raz jeszcze Leonilla.

— A baron? — zapytała Francuzka z przekąsem.

Śliczna panna wydeła usta, powiodła oczyma po sali; nie odpowiedziała nic.

Wesele u p. Podkomorzego zostawiło po sobie mnogie i rozliczne wspomnienia. Sędziemu nie powiedział nikt o tem, że syn jego wroga dwa razy z sędzianką śmiał tańcować: uczyniono z tego tajemnicę.

Czemeryński tylko opowiadał nadzwyczaj patetycznie owo spotkanie ze Strukezaszycem we drzwiach *Bibliotheki*, bo tak zwano pokój, w którym beczka wina stała. Powróciwszy do domu, najpierw opisał to ks. ex-definitorowi, potem dwom sąsiadom, naostatek ekonomowi. Do opowieści tej za każdym razem przybijały nowe i piękne szczegóły; wykończył ją artystycznie autor i podniósł do znaczenia *Mimodramatu*.

Pierwsza wersja, którą żonie w ucho włożył, tak była różną od ostatniej, iż historykowi prawdziwy zaszczyt przynosiła.

Gdy w pięć dni potem przyjechał pan Filemon Kaczor, zwany „Komornikiem“ o którym zaraz szerzej powiemy, w progu go zaczął Czemeryński:

— A słyszałeś—że ty o mojej awanturze z tym samowładcem Strukezaszycem, na weselu u Podkomorzego? Nie? To ci powiem. Wystaw sobie, rzecz była widać ukartowana: chcieli nas, upoiwszy zbliżyć i zmusić do podania sobie rąk. Ja to wszystko *anticipative* przewidziałem, przeczułem, zbroyń byłem. Wiedziałem, że mnie nie pożyją.

Cóż się dzieje? Gdy już *pocula* mnogie wychylono, gdy w czuprynach szumi, pechają mnie, powiadam ci, umyślnie na ciasne przejście, kędy się minąć nie było można. Miałem się na bacności. Jedną razą, widzę—idzie ów dragal, ręce w kieszeniach, podpiły mocno, głowa do góry zadarta, wprost na mnie.

Zważ, że na wszystkich wprzód *subversive* szable poodejmowano, bo, tak jak mnie żywym widzisz, natychmiast—bym za szyję moją dobrodziejkę chwycił.

Stanąłem jak mur. Ten stanął też. On na mnie patrzy, ja na niego; podniósł ramiona, ja też. Ludzie nas otaczają—co tu będzie?

— Proszę! proszę! — wtrącił Kaczor.

— Ale, nie przeszkadzaj—bo — ofuknął Czemeryński—słuchaj—na^oczem stanąłem? A—jak mur sto-

ję. Widzę, pobladł antagonistą, chwieje się, i widzę jak mu z boku animuszu dodają.

Dłużej to trwać nie mogło, odezwać się nie chciałem. Słowo za słowo, byłaby powstała uwłaczająca godności mej burda. Więc, panie dobrodzieju, co ja robię! Co myślisz?

— A! dalipan, nie wiem—odezwał się Kaczor.

— Widzisz! politykiem nie jesteś — kończył sędzia—prychnąłem, ale gdybyś był słyszał jak prychnąłem, co było w tem prychu! Żadne słowo tego nie wyrazi. Była w nim pogarda, lekceważenie, oburzenie, duma, groźba.

A wiesz—ten szerepetka, niemogąc się zdobyć na odpowiedź inną—odprychnął.

Ale jak odprychnął? — nędznio! bo to było naśladowanie małpie, słabe, nikczemne. Jak buchną śmiechem wszyscy!

Wtem Podkomorzy widząc, że nieprzelewki, i że ja mogę wpaść na nowy jaki pomysł, pochwylił mnie na bok, uprowadzając.

Dopiero widzieć trzeba było, jak ta nędzna, ordynaryjna figura, krokiem tchórzliwym, oscylującym, niepewnym poczęła cofać się i z placu uchodzić; trzeba było widzieć, jakim wzrokiem piorunującym ścigałem zuchwalca.

Nie! powiadam ci, admiralowali mnie wszyscy, wieszowali mi, nie mogli się nacieszyć. Strukezaszyc poszedł jak zmyty. Jedno prychnięcie! Tak!

Podajemy tę wersję skróconą nieco, aby dać wyobrażenie: jak sobie ową przygodę wykladał pan Czemeryński.

Komornik Filemon Kaczor, był to biedny człeczyna, który w istocie dawniej zajmował się pomiarami, później, mało co grosza uciulawszy, nabył lichą wioszczynę w błocie, a miał to nieszczęście, że się we własnej pracze, ładnej dziewczynie, zakochał — i ożenił. Następnie pomnożyła się rodzina; żona z owej ładnej, świeżej dziewoi stała się otyłą babusią; bieda zawitała do domu i p. Filemon Kaczor, niemając tak dalece co mierzyć, bo wszystko już było pomierzone w okolicy, biedę klepał.

Był człowiek mały i z krzywymi nogami, które, gdy stał, nigdy do siebie przystać niemogąc, owal nieforemny wpośrodku zarysowywały. Twarz miał dziobatą, nieładną, na której nawet wąs porządnie rosnąć nie chciał.

Ale zpod powiek wychwytywało się spojrzenie kolące jak szpilka, przenikliwe, rozumne. Pan Filemon też choć z miłości szalone popełnił głupstwo, co nieustannie powtarzał, nie był wcale głupim.

Rozmaitego rodzaju posługami starał się sobie pozyskiwać serce obywatelskie; umiał na nasienie dostać owsa u Strukezaszyca, a we dwa dni potem korezyk pszenicy z Łopatycz. Był dobrze ze wszystkimi, a na nikim poczciwej nitki nie zostawił.

Przed Hojskim wygadywał na Czemeryńskich, w Łopatyczach wydziwiał na pyszałka Strukezaszyca. Potakiwał zawsze gospodarzom, gdziekolwiek był, a plotki nosił i dawał się używać do wszystkiego.

Być bardzo może, iż w domu, dla kupy dzieci zamurzanych i jejmości bardzo krzykliwej, siadywać nie lubił, — bo wyrwał się zawsze ze swego Brzozowa, pod różnemi pozorami.

Nie czyniono z nim sobie najmniejszego ambarasu: w pokoju siadał u drzwi, u stołu na szarym końcu; nie obrażał się, gdy mu wino z innej nalewano butelki niż gospodarzowi; znosił, gdy Czemeryński wymawiał mu, że jego buty dziegiem śmierdzą, tłómacząc, że je zawsze odświeża starą stoniną — słowem, człek był gładki i wygodny.

Do posyłek, na zwiady, sam się napraszał. Prawda, że potem za wszystko najłaskawsi dobrodzieje płacić musieli; ale się nie wzdrygał brać honoraryów w naturze, co wiele odzyskanie ich ułatwiało. Począwszy od nadgniłej rzepy, brał wszystko: stęchły owies, porośłą pszenicę, hreczkę popsutą i gorzałkę śmierdzącą.

Mówił pokornie: — Zda się i to!

Lubił go za tę usługę wszystkich, oprócz księdza Dagiela. Proboszcz nie miał zwyczaju na nikogo nie mówić, ale gdy Kaczora chwalo, milczał.

Tu, mimo pobożności swej, bo w kościele był budującym modlitwą swoją, nie miał miru.

Szczególniej na rękę było komornikowi, że się Czemeryński zajął z Hojskim. Błogosławień-

stwem dlań była ta wojna dwu sąsiadów, i starał się ją o ile możności utrzymać w całej sile, podsycając bardzo zręcznie z obu stron; chociaż napozór zachęcał do zgody i opiewał nieocenione, błogie jej skutki.

— A co p. Filemonie? — zagadnął go, ukończywszy opowiadanie swe Czemeryński, — nie słychać tam co nowego od tych hultajów?

Kaczor ramionami ruszył.

— Zawsze się jednakowo odgrają — rzekł komornik. Dla jasnie wielmożnego sędziego ten ciągły niepokój, to prawdziwy kołtun.

— Kula u nogi! — zawołał Czemeryński, ale czy myślisz, że ja na włos ustąpię? Nigdy! Tu nie idzie już o dyferencję, o ziemię świętą mi należąca, wydartą, trzymaną, za którą, gdyby przyszło rewindykować, rekuperować, likwidować, nie starczyłoby majątności tych Hojskich, a raczej Holskich — bo to go! —

Rozśmiał się. — Nie idzie o to, ale o honor, o punkt honoru, o świętą sprawiedliwość. Tu żadne układy i ustępstwa nie są możliwe, rozumiesz, bo-by zadały kłam mnie i ś. p. ojcu mojemu.

— Że jasnie wielmożny sędzia ma po sobie słuszość — dodał komornik, tego mapy dowodzą, dukty, kopce, na drzewach znaki.

— A wiołencją i perfidią powoli dogarniali, przywłaszczali i dziś tych awulsów rekuperować prawie niepodobna. Dwór ich stoi na nim gruncie!

— Któż to, proszę jasnie pana, lepiej wie nade mnie? — rzekł Kaczor. Jednak to się już tyle czasu ciągnie, że należałoby się dopilnować.

— Tak! mądryś — zawołał Czemeryński. — Ja jestem człowiek, ty mnie znasz, otwarty — prawy, niekryjący w sobie zdrady — a Hojski co? Kto? Mruk, zamknięty, faryzeusz, zpodłba patrzący, wielony fałsz, inkarnacja obłudy.

Uśmiechnął się Kaczor, aprobując.

— Więc — mówił z zapalem Czemeryński — w sądach ja idę z podniesioną przyłbicą, gościńcem szerokim, on na przełaj, przekupstwem, podstępem. Kondemnuje się, gdy mu potrzeba, niedopusci rejestru, gdy mu wygodniej; potem *de noviter repertis*, prosi o kommissyą i dukt nowy. I tak z roku na rok za gardło mnie dusi.

Myśli, że mnie zmoże i że ja wkońcu pójdę do kompromisu, a sąd polubowny, jak to jego obyczaj, krakowskim targiem na pół, przyzna mu choć połowę jego rabunku. Otóż nie! nie — i nie!

Na rękę było przybycie Kaczora sędziemu, gdyż, co mu się często przytrafiało, potrzebował pieniędzy. Była to delikatna materya. W podobnych razach Kaczor *sub rosa* mając sobie powierzonym, iż chwilowo Czemeryńskiemu gotówki brakło, jechał, sznurkował i szlachcica wynajdywał, który sam o lokatę prosił. Operacya odbywała się tak, że honor domu salwowano. Z początku sędzia wzdrygał się brać pieniądze.

— A po co mnie to? ciężar? prowizya duża! Dajcie mi pokój.

Kłaniał się szlachcic, rozmawiano i sędzia, niby zmuszony, przez miłosierdzie zgarniał dukaty i talary.

— Słuchaj—no, Kaczor, komorniku kochany — rzekł mu po obiedzie sędzia. — Hm!

I nie mówiąc więcej, pokazał na dłoni jak się odbywało liczenie pieniędzy. — Hm?

— A wiele? — zapytał komornik.

Sędzia, uśmiechając się, rozszerzył palców pięć: miało to oznaczać pięćset czerwonych złotych.

Komornik potarł czuprynę; Czemeryński go poklepał po ramieniu.

— Ja ciebie znam! tyś sprawny! — rzekł śmiejąc się. I szepnął mu coś do ucha. — Kaczor się do kolan pokłonił.

Była to właśnie owa pora kontraktowa, gdy innostwo ludzi na pieniądze poluje, więc nie łatwo ich gdzie dostać; wszelako spodziewał się komornik — przy pomocy Bożej! — bo był bardzo pobożny. Przed wieczorem wyruszył z Łopatycz.

Po drodze mu wypadła Sierhin; zmierzchało się już. Zdała dwór, w którym się tego z kominów kurzyło, oświecony, był tak jakoś zaciszny, wygodny, aż się zajechać chciał. Czemeryński nie?

— Nawracaj do Sierhina! — odezwał się komornik do chłopca i począł: — Pod twoją obronę....

Modlitewka była na intencję, ażeby mu się w tym domu powiodło.

Właśnie, p. Erazma wysławszy do Lublina, nie tak dla interesów jak dla rozrywki, Strukczaszy z siostrą Blandyną nudził się trochę. Zimą spory z Łopatyczami przyciechały zwyczajnie, chyba w lesie się co przytrafiło. Zobaczywszy przyjeżdżającego Kaczora, którego poznał przez okno Strukczaszy, uradował mu się — otworzył drzwi i huknął:

— Konie do stajni!

W zachowaniu się komornika u dwu sąsiadów, była pewna różnica: pokornym był u obu, ale z Hojskim nieco poufalszy, i że tu smutnawo zawsze wyglądało, nabierał wesołości, a gospodarz mówił mało, on czuł się w obowiązku mówić za dwóch.

— Niech-że będzie pochwalony! — odezwał się wchodząc.

Na kominku się paliło w izbie, Hojski właśnie był chodząc, część pacierza dokończył.

— Jak się masz komorniku? a z kąd?

Pytanie było niedyskretne. Zamierzając o Łopatycze, przynął się komornik, że z Kobrynia powraca do domu.

— A w Łopatyczach nie byłeś? — zagadnął Strukczaszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOBIETA RZYMSKA

W CZASACH CEZARÓW.

URzymian płeć piękna cieszyła się nieporównanie większym szacunkiem i obszerniejszymi prawami, niż u Greków, i wpływ jej na rodzinne i społeczne życie władców całego wówczas znanego świata, w zupełności odpowiadał temu położeniu, jakiego oddawna dobiła się Rzymianka na drodze historycznej. Początkowe poszanowanie domowego ogniska, surowość związku małżeńskiego, świętość rodzinnych węzłów, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przeszły do Rzymian od Etrusków, a prędzej jeszcze od Sabinów. Według opowiadań starożytnych kronikarzy, Rzym zbudowała garstka wychodźców bez dachu, bez rodzin, którzy skorzystali z uroczystości mającej miejsce u Sabinów, aby uprowadzić ich córki. Sabinowie puszczili się w pogoń i zatrzymali uwodzicieli; rozlew krwi był nieuniknionym, i nowe miasto, przez którego rów i okopy, śmiejąc się, przeskoczył młodszy brat założyciela, miało zginąć, wraz ze swą nieliczną ludnością, w walce z potężnym takim narodem, jakim byli Sabinowie. Lecz wykradzione Sabinki, wstały się za swymi mężami — a wstawiennictwo to ocaliło Rzym. Na tę pamiątkę Romulus ustanowił w swym mieście czysto kobiecą uroczystość *matronalia*, uwolnił niewiasty (matrony) od wszelkich robót (wyjawszy wyroby bawełniane); rozkazał ustępować przed niemi przy spotkaniu na ulicy; ustanowił karę śmierci za obelgę, wyrządzoną zapomocą mowy zuchwałej lub czynu; rozkazał, by rozwodzący się oddawał żonie połowę majątku, jeżeli tylko nie była ona przekonana o niewiarę małżeńską lub o zamach na życie męża. Później, w czasie powstania patrycyusza Koryolana, gdy ten ostatni obległ miasto z buntowniczymi wojskami, a niewieście poselstwo z matką i żoną buntownika, na czele, zdołało nakłonić dumnego arystokratę, by zaprzestał obleżenia — kobietom pozwolili nosić purpurę i złoto, jako nagrodę za powtórne ocalenie Rzymu. Wreszcie, gdy rzymskie matrony ofiarowały swe klejnoty, by tylko wypłacić sumę, wyrównyującą dziesiątą część łupu, który zdobywał Veji, Camillus, przeznaczył delfickiemu bóstwu, kobiety mogły w samym Rzymie jeździć wozami, a po śmierci być wychwalanymi w mowach pogrzebowych. Godnem jest uwagi, że dwie największe przemiany w państwie: wprowadzenie rzeczypospolitej za Tarkwiniusza Pysznego, który znieważył Lukrecję i zniesienie panowania decemwirów, z których jeden popełnił takie same przestępstwo, zniesławiając Wirginię, — były zemstą za gwałt zadany ko-

bietom. Bohaterskiej Klelii za jej bezprzykładną odwagę w wydostaniu się z niewoli u Porsenny, wzniesiono konny pomnik. Wszystkie te fakty pokazują nam, że społeczność obywateli starożytnego Rzymu była silną przez rodzinny węzeł, który wtedy tylko jest możliwym, gdy matrony są cnotliwe i wierne swemu przeznaczeniu.

Nie były Rzymianki podobne do Greczynek, nie można ich było, pozbawiwszy wszelkich środków do rozwijania się duchowego, zmusić, by wegetowały w gynekeum. Już samo uprowadzenie Sabinek pokazuje, że kobiety były obecnymi przy publicznych zabawach, a pierwsza szkoła, o jakiej znajdujemy wzmiankę, była szkołą dla dziewczyn na forum; w niej-to uczyła się i nieszcześliwa Wirginia (449 r. przed Chr.). Przyjmując z całą swobodą gości podczas nieobecności męża, matrona nabywała tem większego wpływu, iż kierując wychowaniem swych córek, utrzymując podrastające panny w najściślejszej moralności i czystości obyczajów, starannie odsuwało od nich to wszystko, co mogło obrazić ich uczucia. Katon wygnął z senatu niejakiego Maniliusza za to, że ten w obecności córki ośmielił się pocałować swą żonę. Publius Maevius zabił jednego Rzymianina za to, że ten przypadkowo dotknął się ust jego córki. Co się tyczy synów — posłuchajmy srogięgo Tacyta: „Matka, mówi on, której największa sława zależy na dobrem rządzeniu domem i pracy koło dzieci, kieruje nie tylko poważnymi ich zajęciami, lecz i zabawami w chwilach wypoczynku. Takimi były: Kornelia, matka Grachów, Aurelia, matka Cezara, Acya, matka Augusta.“ Między przytoczonymi przez Tacyta najbardziej uwypatniona się córka Scypiona Afrykańskiego starszego, Kornelia, która — w odpowiedzi na chętlive opowiadania swej przyjaciółki o brylantach, jakie posiada — przyniosła na rękach jedyne swe bogactwo: malutkiego syna.

Matrona rzymska była panią w domu, i jako symbol jej władzy, zaraz po ślubie wręczano jej klucze od wszystkich składów. Te klucze obowiązała ona była zwrócić tylko w przypadku rozwodu; lecz rozwód mógł nastąpić tylko z woli męża, i był taką rzadkością, że gdy Spurius Carwilius Ruga rozwodził się ze swą żoną, oburzył tem wszystkich przeciwnie sobie¹⁾.

Żona rządzi całym domem, przyjmuje udział w ucztach i zajęciach swego męża, używa tytułu „pani“ (*domina*), którym ją mianują wszyscy domownicy i sam mąż. „W domu nic nie było oddzielnego, pisze Columella o zwyczajach swych przodków, nie było praw właściwych wyjątkowo li mężowi albo żonie; lecz oboje szli ręką w rękę tak, że gorliwość gospodyni domu w zupełności odpowiadała zapałowi męża w życiu publicznym.“ Oprócz domowych bogów, Larów i Penatów, nad małżeńską zgodą czuwała, spokój czyniąca, Juno. Świątynia jej na Palatyńskiej górze była ucieczką dla żelaznych żon; tam zносиły one swe skargi i nie wychodziły ze świątyni, dopóki ulegli mężowie nie uczynili zadość ich obrażonemu uczuciu. Surowy Katon nawet mawiał: „ten, kto bije żonę lub dziecko, nastaje na największą świątynię,“ a dobrego członka rodziny przekładał nad mądrego senatora.

Takimi były szacunek i połączona z nim rozumna wolność, z których korzystały kobiety w najświetniejszej epoce historii rzymskiej. Lecz co się stało z niemi, gdzie się podziały dobre obyczaje, rodzinne cnoty i wstyd za czasów Cezara?

„Zamiłowanie w wystawności, — mówi Schlosser, równie jak rozkoszowanie i marnotrawstwo, naturalnym porządkiem rzeczy, dojść musiały stopniowo do ostatecznych granic, gdyż właściwie podniętą i celem życia stało się tylko używanie.“ Jak się to opkazuje z wykopalisk dokonanych w Herculanium i Pompejach, komfort w budowie domów, ubiorach i wogóle w urządzeniu domowym był tak wielki, że nawet dzisiejsi Europejczycy nie wyprzedzili jeszcze Rzymian, a pod wielu względami pozostali nawet w tyle za nimi.

„Zbytek w urządzaniu i przyozdabianiu pałaców, willi wiejskich i łązienek; sutość uczt i mnóstwo najróżnorodniejszej służby, — przechodziły wszelką miarę.“ Drogie dywany i materje stały się nie-

zbędnymi. Srebrne Lary czyli bożki domowe i długie szeregi obrazów zdobią przedsienie. W salach na przymowanie gości przeznaczonych, roje niewolników, zarządzających całym gospodarstwem, któremu teraz jedna gospodyni nie mogła już podołać. W każdym znaczniejszym domu miałeś pewną liczbę tak zwanych *kosmetów*, ludzi świadomych sztuki toaletowej, którzy nadobnym paniom i panom nie tylko pomagali w ubieraniu strojów, ale i zmarszczki wygładzali, sztuczne zęby wstawiali i malowali brwi. W komnatach jadalnych starano się o wszystko, co służyć może do najwybredniejszej wygody i używania. Służba stanowiła zarazem chór śpiewaków, a nawet krajanie i wnoszenie na stół potraw odbywało się przy odgłosie śpiewów i instrumentów muzycznych. Wyuzdanie codo jadła i napojów w ogóle, doprowadzono w owych czasach do ostateczności. Względem moralności nie pozwalają opisywać innych wybryków w owych czasach, tak silnie przypominających epokę Regencyi we Francyi.

„Kobieta po większej części jest tem, czem my sami mieć ją chcemy“ stara ta i utarta prawda nie była zawieszoną w swej mocy i wówczas. Pod koniec istnienia rzeczypospolitej i za cesarstwa, kobiety otrzymują więcej wolności — i, zaiste, zwolennicy równouprawnienia niewiast powinni się byli cieszyć, gdyby jednocześnie duch fałszywej emancypacji nie podeptał wszystkich praw moralnych. Przedewszystkiem starały się kobiety wykształcić, zapoznać z grecką literaturą i muzyką. Kornelia nawet ostatnie lata swego życia spędziła w Misenum, otoczona uczonymi. Żona wielkiego Pompejusza oprócz literatury i muzyki posiadała jeszcze geometryę i filozofię. Plinius młodszy, z nainownym zachwytem kochającego serca, tak się odzywa o swej małżonce: „Przekłada ona i śpiewa moje poezye przy cytrze, nieucząc się od nauczycieli, ale idąc za głosem miłości, tego najlepszego kierownika ludzi. Z miłości dla mnie, przyjmuje udział i w zajęciach literackich, czyta moje książki; gdy je wykładam, ona, ukryta za zasłoną, pilnie się przysłuchuje pochwałom, które mi oddają.“

Lecz już Owidiusz robi uwagę o ówczesnych *Błędnych Ponożuchach*: „Prawda, zdarza się gdzieniegdzie spotkać takich niewiast, lecz za to tysiące można napotkać takich, które tylko pałają żądzą uchodzenia za uczone.“ Jeszcze ostrzej powstaje Juwenal na uczość kobiet i zamiłowany przez nie grecki język, który w ówczesnym Rzymie zajmował takie stanowisko, jakiem dziś cieszy się francuzki. „Czy może być co wstrętniejszego, woła, gdy żadna nie uważa się godną miłości, jeżeli nie przekształci się z Rzymianki na Greczynkę, albo nawet na czystą Atenkę!“ „Nieznosniejszą od pijaka, mówi on dalej, jest każda kobieta, która zaledwie usiadzie, poczyną zaraz wychwalać Wirgiliusza, usprawiedliwiać umierającą Dydonę, porównywać i krytykować poetów. Na jedną szalę wag ciska Wirgilego, na drugą rzuca Homera. Gramatycy ustępują jej; professorów retoryki ona sama zbija z tropu; słuchacze mileczą; nikt nie może przyjąć do słowa: taki potok słów wyrzuca z ust swych i zdaje się, że dzwonią jednocześnie we wszystkich dzwony...“

Kobiety otoczyły się greckimi filozofami, studiując zwłaszcza *Rzeczpospolitą* Platona, którego pogląd na kwestyę kobiecą, jak najbardziej odpowiadał gustowi w czasach Cezaryzmu.

Wolność kobiet poza domem doszła do rozkiełznania, a dawna skromność rzymskiej matrony znikła bez śladu. Cyrk, teatr i amfiteatr — były ulubionymi miejscami tych, którzy chcieli „popatrzeć na ludzi i siebie pokazać,“ jak mówi Owidiusz w swej *Sztuce kochania*. Lecz w teatrze i amfiteatrze kobiety siedziały jeszcze w tyle i ich adoratorom pozostawała tylko mowa wzrokowa; w cyrku zaś zajmowały miejsca, jakie im się podobały; do wzięcia więc Owidiusz podaje wskazówki, jak najlepiej zawiązać rozmowę z damą-sąsiadką.

W spacerach rzymskie niewiasty wyprzedziły również Greczynki. Spacer odbywał się zwykle w okrażających ogrody lub przytykających do świątyni kolumnadach, w których cieniu piękne panie używały świeżego powietrza, a młodzieńcy, według świadectwa Owidiusza, „brali się na sp Soboty,“ nieróżne od tych, jakich zażywają dzisiejsi Lowelasi i *petits-crevés*. Wychodząc z domu, wsta-

¹⁾ Około roku 200 przed Chrystusem. W instytucjach prawa rzymskiego ten rozwód Rugi uchodzi za najwcześniejszy.

Wspomnienie o Grotgerze.

(Dokończenie).

dały do lektok, ozdobionych baldachimem i roletami. W bogatym stroju modna pani przybierała czarującą pozę, unoszona na barkach czerwono odzianych, ciemnobarwnych niewolników. W całym Rzymie znanem było imię Nauziki, która z macierzyńską prawie miłością, powoziła dwoma końmi u wozu jej zaprzężonemi. Bo też sławne były te konie: *Velox* (bystry) czystej arabskiej krwi, od znakomitej *Sagitty* (strzały). Ta ostatnia, pewnego razu w górach Nubii napadnięta przez lwicę, uciekała, i w śmiertelnym strachu rzuciła się w morze, którego wreszcie dosięgła. Lwica, która już zdążyła wpić swe pazury w ciało *Sagitty*, znalazłszy się w niezwyklej dla siebie sferze—wodzie, puszcza swą ofiarę, a *Sagitta* ratuje się wypłynieniem na blizką wyspę.

W co się obrócił ów rodzinny węzeł, chluba starożytnego Rzymu; co się stało z domowym ogniskiem i jego spokojnem szczęściem, w epoce gdy kobieta hulala noc całą, zjadając olbrzymiej wielkości ostrzygi, zakładając się z mężczyznami, że więcej wypije wina falerneńskiego!

Rozwody były w powszechnem użyciu, lenistwo kobiet tak wielkiem się stało, że nie tylko nie miały one pieczy o przędzy, którą teraz już niewolnicy się trudnili, ale nawet publicznie odzywały się z pogardą o wszelkiej domowej robocie, kupując, często za cenę całego mienia, wyroby odległych krain.

Liwia, żona Augusta, sprowadziła z Syrii parasol z piór strusich, zdobny w perły, wartości wyrównującej pensyi pięciu senatorów. Lollia Paulina, żona Kaliguli, na jednej uczcie weselnej, miała na sobie szmaragdów i pereł za 3,000,000 talarów.

Rzymianki przekładały perły nad inne ozdoby. Cezar kupił Serwili perłę za 435,000 talarów. Jedwabne materye weszły w modę już za czasów Nerona. Przeroczysta tkanina z wyspy Kos była poszukiwaną w całym ówczesnym świecie. Horacyusz i Seneka jednoznacznie utrzymują, że kobiety w te materye przyodziane, nie mają prawa przywoływać bogów na świadectwo, iż nie są obnażone. Tuniki i stoły (*tunica et stola*, pewne podobieństwo których spotykamy w używanych przez Kościół szatach), odpowiadające grekiemu *chiton*, i *palle* odpowiadające *hymatowi* Greków, dawnymi czasami były purpurowe i białe; lecz Plaut już wspomina o wyszywanych złotem, czerwonych i żółtych. Można było także spotkać tkaniny podobne do *moiré*. Jako obuwia, używały kobiety bogato przybranych sandałów, jasnego koloru. Głowy ubierały rozmaicie; warkocze, loki, greckie czesanie włosów w węzeł—były zarówno w użyciu. Dla nadania włosom ulubionego koloru rudo-żółtego, używano mydeł, nabywanych od Gallów i Germanów. Ci ostatni całemi massami przychodzili do Rzymu, by sprzedawać swe włosy na peruki, które wówczas cieszyły się powszechną wziętością. Wiele kobiet po kilka razy na dzień nacierało się olejkami, a Poppeja Sabina utrzymywała 500 oślic, by ich mlekiem obmywać sobie twarz. Pachnących olejków i essencyj używano nie tylko do włosów, lecz i do ubrania: najlepsze sprowadzano z Arabii.

Rozumie się, że i w tych smutnych czasach ogólnej niemoralności można było znaleźć przykładne żony i dobre matki, jak o tem świadczą napisy grobowców, choć i te bardzo często miały się z prawdą. Historia wspomina o Arii, małżonce Cecyny Paetusa, który za udział w sprzysiężeniu skazany został na śmierć; postanowiła ona umrzeć wraz z mężem i dodać mu odwagi swą śmiercią. „Gdy Paetus okazał twógę, przebiła się w jego oczach i podała mu sztylet, mówiąc: „Paetus, to nie boli!“¹⁾ Tacyt i Pliniusz przytaczają wiele przykładów cnoty, a nawet bohaterstwa kobiet; lecz były to tylko wyjątkowe zjawiska, które, dlatego właśnie, że były takimi, historia zapisala na swych kartach

Poznała wreszcie ów szereg utworów, o którym jej mówił sam Grotger, a który był dla niego pierwszym szczeblem do wszechświatowej sławy. Składało go siedm kart z wielkiem uczuciem i siłą charakterystyki odrysowanych. Wszystkie opisuje autorka trafnie i ze znajomością rzeczy. Długi czas żyła samym tylko Grotgerem i to właśnie, że go odrywano od niej, trzymało go przy nim ustawicznie.

Pewnego dnia matka sama wymówiła przed córką nazwisko *bazgracza*. Przyznała się do podrobienia listu, nie ukrywała tego, że zamknęła dom swój artyście. „Nie po to wszystko—m na wychowanie twe łożyła—mówiła—abyś doczekać się miała nędznego losu i zostać żoną malarza.

— Zostać żoną Grotgera byłoby w każdym razie sławą i zaszczytem.

— Być może — przyszłość to okaże; ale nateraz wątpię o jego środkach majątkowych i mniemam, że przykład w sąsiedztwie dość wymownym byćby powinien — odparła matka i odeszła.

Przykład zaś w sąsiedztwie był straszny: aktorka, która poślubiła biednego artystę, malarza-fotografa — i jako żonę jego, różując się i bieląc, gościem tylko w domu bywała.

Matka przyniosła list napisany do niej przez Grotgera w d. 10 Kwietnia 1862 r. Żałujemy, że dla braku miejsca nie możemy go tu przytoczyć. Szlachetna w nim przebijają się dusza — duma mężka ocalona i zarazem uczucie odważnie stawiające czoło przesądowi czy chciwości. List ten, na str. 67—69 książki pomieszczony, daje dowód, że Grotger rzeczywiście przywiązał się do dziewczęcia. Wszak miał dopiero wtedy lat 25; serce jego było jeszcze zdolnem do przyjęcia na siebie tych słodkich, delikatnych, cienkich jak pajęczyna i przez tę delikatność swoją właśnie cudownych, więzów, kteremi czysta idealna miłość serca młode krępować zwykła.

Powstająca budowa miłości w gruzy rozpadać się zaczęła. List Grotgera z Czerwca 1862 r. przez dwa lata ukrywany był przed panną, aby w niej wspomnień nie budził. Niewiedząca nic o nim, musiała wierzyć w zubożenie artysty. Z wiosną wyjechała rodzina na letnie mieszkanie. Pewnego dnia jeden z malarzy wiedeńskich, który znał Grotgera jeszcze z Akademii, będąc w gościnie, zawołał: „Toż-to Grotger — na koniu!“ Panna do okna. Rzeczywiście jechał konno obok pięknej amazonki. „Niewierny — zapomniał“ — była pierwsza myśl dziewczęcia, któremu wresztą czas, jedyny wielmożny pan na ziemi, wyciągał coraz bardziej żywe barwy uczucia z serca.

Po zimie przyszła wiosna. Wspomnienie artysty polskiego o bladej twarzy ustąpiło przed palającą młodością i ognistym niebieskim okiem tego, który po nim nastąpił. Ołówkowi wydarł pierwszeństwo pendzel. W lecie Eugeniusz Blass, znakomity kolorysta, wymalował portret kobiety, której los nie pozwolił być odrysować Grotgerowi — a na jesieni zdawało się, że malarz portretu zupełnie już wyparował z pozycyi rysownika-poetę.

Ale zdawało się tylko, bo w rzeczywistości Grotger na dawnym miejscu swoim pozostał. Jako artysta tworzący piękno w zakresie malarstwa nie przez wystąpienie Blassa nie utracił. Podczas gdy ten ostatni uganiał się za zewnętrznoscia, którą autorka niewłaściwie *Das Ding an sich* nazywa, pierwszy do wnętrza istoty, do duszy sięgał. Blass studyował anatomię; Grotger studyował duszę. Był poetą w rysunku i to go właśnie odróżnia nie tylko od Blassa, ale od wszystkich innych malarzy. Autorka dobrze pojmuje istotę talentu Grotgerowskiego.

Ową amazonkę, jadącą przy Grotgerze, była jego siostra. Artysta nie mógł jeszcze tak prędko zapomnieć o tej, która w amazonce domyslała się nowej jego miłości. List Grotgera z d. 4 Czerwca, poda-

ny na str. 79—82, dowodzi trwającego ciągle a szczerze już, gorąco wypowiadającego się, uczucia.

Panna pojechała na wystawę londyńską. Tam nie tylko dawny, ale nowy szereg rysunków Grotgera z tegoż samego zakresu rzeczywistości idealizowanej ujrzała. Na jednym z rysunków uderzyła ją twarz kobiety-wdowy — szlachetną myślą i uczuciem potężna. Jakże wzięła przy niej wydała się dziewczyna siedemnastoletnia! To uczucie bezsilności własnej wobec rysunku przekonywa, że, pomijając drobne słabości miłości własnej w książce tu i ówdzie wystrzeliwujące, wogóle kamerton duchowy autorki wcale powszednim nie był. Mało, zaiste znajdzie się kobiet, któreby taką bezsilność swoją, taką niższość, wobec pięknego typu sztuki odczuły!

* * *

Minęły dwa lata. Panna zwiedziła nie tylko Londyn, ale Paryż i Rzym. W karnawale 1864 roku ujrzała się napowrót w Wiedniu. Karnawał zawiązał był pierwszą znajomość między dwójgim młodych; karnawał miał im dać teraz ostatnią chwilę wspólną w życiu.

Ujrzała go na reducie — i pobiegła zaraz ku niemu. „Powiedzieć mu: „panie“ — było dla niej czemś dziwnym; nazwać go „Arturem“ nie śmiała. Instynktownie wyciągnęła rękę i wpatrzyła się mu w oblicze. On wzrok poznał i zawołał: „Ach, te oczy, te oczy!“ — panna Karolina! (imię autorki, kryjącej się, oczywiście, we *Wspomnieniu* pod pseudonimem). I za chwilę już trzymał jej ręce w dłoniach i całował. Wyszli do sali bocznej.

— Pozwól mi pani twarz swą ujrzeć... Mój Boże, jakżem szczęśliwy!... Obrzydliwa ta maska! Widząc przynajmniej oczy, pociechy doznaję... Ale któż z takimi oczyma przechodzi na maskaradę: takie oczy poznaje się wśród tysięcy!“

Rozmowę przerwał im jakiś młody, idealnie piękny baron, będący mieszaniną Romea, Toggenburga i Otella. Rozstali się. Ona przyrzekła przyjść w ostatni wtorek, jedynie tylko dla niego.

Nadszedł ostatni wtorek. Różowe dominó dotrzymało słowa i przed północą znalazło się przy boku Grotgera. Mieli sobie wiele do powiedzenia — może niewiele już do żalów, niewiele do marzeń wspólnych. Przeszłość niekiedy tyle ma jeszcze potęgi, że się za teraźniejszość podać umie. To, co jest już historycznym tylko interesem, wydaje się często gorącą sprawą żywota.

Mówili o wszystkim, tylko nie o miłości swojej, mówili i o sztuce. Nie do Rzymu, ale do Paryża zwracała się myśl Grotgera jako pięknotwórcy. „W Rzymie — mówił — panuje klassycyzm, systemat, szkoła, koloryt, antyczność: a wszystko to dla mnie *nie* nie znaczy. Życie, duch, ruch: oto mój żywioł. Muszę się czuć wolnym od wszelkich reguł i szrańek. Sztuka pomnikowa na nie mi się nie przyda. Studyuję ją i uznaję jej zasługi; piękno bowiem wszędzie, gdzie tylko jest, panuje; ale Francja bliższą mi jest niż Włochy“.

Pożegnać się było trudno. Minuta do minuty, kwadrans do kwadransa przybywał — oni żegnali się ciągle i żegnając ciągle nanowo witali. Chwila skwarna nastała. Jedno słowo byłoby ich może połączyło ze sobą na zawsze; ale żadne z nich nie miało odwagi słowa tego wymówić. Gdyby miłość ich była prawdziwie silną, byłaby też i prawdziwie odważną.

Mieli pisać do siebie. Ona ukazała mu nadzieję rychłego zobaczenia się. Twarzy jej i teraz także nie widział wcale. Spotkanie to było już ostatniem w życiu.

* * *

Wkrótce potem, dnia 28 Lutego 1864 r., otrzymała autorka od Grotgera długi list (str. 91—96), którego już wówczas nie zrozumiała. Życie nie oszczędziło było czystej duszy szesnastoletniego dziewczęcia; dwa lata upłynione zburzyły ideały. Demon zapanował na miejsce anioła stróża. Różowe dominó z sali redutowej nie było już ową panienką z pensyi, tulącą się na łono geniuszu....

¹⁾ Znaną tę przygodę prokonsula rzymskiego, udratyzował niedawno w osobnym utworze oryginalnym pod tytułem: *Arria*, młody poeta nasz Kościelski. Za granicą, w Niemczech mianowicie w ostatnich latach, najgłośniejszą była tragedia z przygody Paetusa, ułożona przez Wilbrandta; przełożył ją na język polski p. Kazimierz Kaszewski pod tytułem: *Arria i Messalina*. (Przyp. Red.)

A koła życia walczyły dalej—robiły swoje: w niej zniszczyły tylko uczucie; w nim zaś był sam zmiadziły. Stworzył jeszcze dwa arcydzieła; jedno z nich, *Wpadole tez*, na wystawie świata w Paryżu nabyte przez cesarza austriackiego, dziś przechowywane jest w Gödöllő na Węgrzech i zna je świat cały w licznych odtworach kunsztu fotograficznego. Twórca tego arcydzieła umarł w tym samym roku, w którym otrzymał świetną nagrodę i znaczny fundusz za pracę (1867 r.)? Kto wie: czyby zawarte w czasie poznania w 1862 r. małżeństwo, przywiązując Grotgera do stałego ogniska, nie zapewniło mu było życia dłuższego? Kobieta bywa dla mężczyzny bardzo często kamieniem u nóg, czy u skrzydeł; ale nierzadko także nadaje życiu mężczyźnie równowagę—tak potrzebną do tworzenia, do wywierania sił swych na zewnątrz, do pracy dla siebie i nie dla siebie.

Bardzo gorące, piękne pożegnanie, zwrócone do cieniów Grotgera, zakończyła opowieść. Ale jak-gdyby trudno się było rozstać autorce ze wspomnianą postacią, następuje jeszcze po tem pożegnaniu, na samym już końcu książki, dodatek z krótkim rozbiorem *Albumu szkiców* ogłoszonego przez H. O. Mietkego w Wiedniu, już po śmierci artysty. Pogląd jest wogóle trafny, i o ile na to pióro kobiecie zdobyć się mogło, treściwy i zupełny. Niepodobna nam tu iść za autorką, bo i tak już zbyt wiele miejsca zajęliśmy na swe sprawozdanie. Kończąc je, nie możemy powstrzymać w sobie żalu, że dotychczas jeszcze Grotger nie doczekał się wyczerpującego o sobie, jako o artyście, studium. Nawet na poezję, która by zillustrowała jego *Padół tez*, żadne polskie pióro dotychczas się nie zdobyło.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 22 Stycznia 1878 r.

Smutny początek roku.—Epoka klimakteryczna znakomitości.—Śmierć malarza Courbet'a.—Szczegóły i wspomnienia. — Słabostki artysty.—Polityka i sztuka. — Proudhon i jego sąd o Courbecie. — Stanowisko jego we francuskiej szkole malarstwa. — Śmierć generała Alf. de la Marmora. — Jego udział w oswobodzeniu Włoch. — Szczegóły z życia. — Jego zatargi z kanclerzem niemieckim. — Jego książka o rokowaniach ks. Bismarcka z Włochami przed wojną 1870/71. — Franciszek Raspail. — Jego życie, działania i śmierć. — Śmierć hrabiego Palikao. — Ciekawe szczegóły. — Wyprawa do Chin. — Wzięcie pałacu w Pekinie. — Różaniec ofiarowany cesarzowej francuskiej. — Żyjące perły. — Kula w gardle i mównica w Izbie poselskiej. — Jego książka o dwudziestoczterodniowym ministerium. — Śmierć króla włoskiego. — Xawery Aubryet i jego nowe książki: *Chez nous et chez nos Voisins* i *Les bas bleus*. — Korrespondencye Sainte-Beuve'a; tom I-szy. — Nowa książka Alfonsa Karra: *Notatki z podróży Domatora*. — Zabawne szczegóły.

(Dalszy ciąg).

Drugą z rzędu ofiarą śmierci jest generał Alfons de la Marmora. Znakomity ten wojak był jednym z trzech głównych działaczy jedności włoskiej. Pierwszym był hrabia Cavour. Rzecz dziwna, o kilka dni tylko poprzedził do grobu trzeciego i ostatniego towarzysza tej patriotycznej spółki: króla Wiktora Emanuela!

Oficer artylleryi, generał de la Marmora, przyjął znakomity udział w wojnie o niepodległość Włoch w roku 1848. Jemu, jako organizatorowi nowego wojska włoskiego, należy się jedno z najpierwszych miejsc w Panteonie odrodzonej ojczyzny. Jako minister wojny w Piemontie przyczynił się on niemało do zbliżenia się ścisłego do polityki ówczesnej we Francji (1854 r.) i przyjął dowództwo pomocniczego korpusu wysłanego do Krymu, z którym się odznaczył w bitwie nad rzeczką Czarną (1855). Po powrocie z tej kampanii de la Marmora mianowany został generałem broni, co w wojsku Piemontem odpowiada stopniowi marszałka francuskiego, i powołany znowu do ministerium, przygotował umiejętnie i czynnie wszelkie wojskowe środki, które pozwoliły Włochom, przy pomocy Francji, oswobodzić się na koniec ostatecznie z pod wpływu obcego. Świetny przyjął udział w pamiętnej bitwie pod Solferino, gdzie obok króla okrył się nieśmiertelną chwałą.

Od tej chwili był on niezaprzeczenie najwyższym

przedstawicielem po królu narodowego włoskiego wojska, kiedy nieszczęśliwa przegrana pod Custozzą przyszła położyć koniec jego wojennym działaniom—zamykając na długo, doówczas otwarte, szranki bojowe na ziemi włoskiej. Odtąd generał de la Marmora przyjął czynny i silny udział w polityce wewnętrznej swojego kraju. Mianowany prezesem rady ministrów, potrafił bez krzyżującej niewdzięczności kierować interesami Włoch w ten sposób, aby wojna pomiędzy Francją i Niemcami nie przekroczyła granic zaledwie ustalonych na pasmie alpejskim. A chociaż osobiście serdecznie przychylny dla Francji, jako Włoch umiał rozróżnić zrzeczenie osobiste skłonności od powinności obywatela obcego kraju, pozostając wiernym przede wszystkim własnej swej ojczyźnie. Kiedy jednakże po wyjściu z ministerium i po skończonej wojnie francuskiej żywa i drażliwa wszczęła się polemika codo stanowiska, jakie zajęli Włosi w tej epoce, de la Marmora, dotknięty niesumiennością zarzutów, z którymi wystąpiły szczególniejsze oficjalne organa ks. Bismarcka, wydał pamiętną wszystkim książkę: *Un poco più di luce* (Trochę więcej światła), która rzucając nowe rzeczywiste światło na działania polityki pruskiej jeszcze przed wojną 1866 roku i po tej wojnie aż do kampanii 1870—71 r. narobiła wiele hałasu i była powodem pewnego rodzaju jakby nagany dla autora, której domagał się od Izby włoskich obrażony kanclerz niemiecki. W swoim czasie zdałem sprawę czytelnikom *Bluszczu* z tej książki. Było to ostatnie wystąpienie polityczne generała de la Marmora.

Umarł zrana dnia 5 Stycznia we Florencji w 73 roku życia. Śmierć takiego męża jest wielką i dotkliwą stratą dla Włoch, które we cztery dni później miały stracić tak nagle i niespodziewanie swojego króla. Uczucie żalu było powszechne, a naoczny świadek, jeden z moich przyjaciół, mówił mi, że zbudowany był wyrażeniem publicznego żalu, który na każdym miejscu spotykał we Florencji. Szczęśliwe narody, które umieją dochować niepokalanie tej czci i pamięci dla wielkich mężów i obywateli swego kraju!

Trzymając się chronologicznego porządku, musimy jak w czarnoksiężkiej latarni, coraz to zmieniać swoje obrazy i szkice. Po bohaterach na polach bitew, bohater brukowy. „Śmierć nie przebiera i wszystko zmiecie—perły czy śmiecie“, jakas stara powiada piosenka. Powtarzamy słowa tej piosenki, bo nam przyszła w tej chwili na myśl, po wielu a wielu latach niesłyszania, ale nie czynimy żadnej aluzji do zmarłego, który był jednym z ostatnich patryarchów demokracji 1830 roku we Francji—i, jak tu dodają złośliwie—kamfory!

Franciszek Wincenty Raspail urodził się w południowej Francji, w Carpantras, 1794 roku, umarł w Arcueil pod Paryżem dnia 8 Stycznia, miał więc 84 lata życia. Dziwne to życie dziwnie się składało nim los postawił zmarłego na tej demokratycznej placówce, z której zszedł on dopiero, zstępując do grobu. Syn biednego oberżysty, oddany na naukę do seminarium w Avignone, Raspail skończył tam porządnie i z odznaczeniem nauki i w roku 1807 przyjął z rąk biskupa tonsurę, a w r. 1812 pierwsze święcenia (*ordines minores*). Wkrótce jednak po tem wyświęceniu Raspail zrzucił sutanę i wtemże samem seminarium został świeckim profesorem literatury. Na tej-to katedrze i w czasie ostatnich zapasów cesarstwa, wygłosił tak gorącą i patriotyczną mowę o obronie rodzinnej ziemi, że Napoleon, czytając ją, powiedział: „Młodzieniec ten daleko zajdzie!“, a ponieważ młody profesor natchnioną pieśnią powitał powrót Napoleona z Elby, rząd restauracji za powrotem złożył go z nauczycielskiego urzędu.

Od tej chwili Raspail wszedł stanowczo i niepowrotnie na pole opozycji demokratycznej i radykalnej, chociaż ten przymiotnik nie był jeszcze w użyciu w owym czasie. Rzucając pole nauk humanitarnych i literatury, oddał się cały chemii i medycynie, ale, idąc zawsze na przekór wszystkiemu, cokolwiek mogło być prawem i urządzeniem, praktykę i jej zastosowanie prowadził prywatnie na własną rękę, mało się troszcząc o dyplomy i legalność. Była to innowacja zupełna, coś naksztalt tego, co się praktykuje w Anglii i Ameryce, a co niedozwolone jest we Francji i sprowadzić też musiało prześladowanie, więzienie i nawet

czasowe wygnanie. Jakkolwiek sztydono nieraz z jego uniwersalnego panaceum—z kamfory — potrzeba jednak powiedzieć, że jego odkrycia w chemii medycznej i w samejże medycynie niemałe miały znaczenie. Jemu to się należy, jeżeli nie odkrycie, to określenie „Komórki“ (*La cellule*) i roli, jaką ona odegrała w organizmie naszym. Wprowadzenie kamfory jako środka przedochronnego i lecarskiego zjednało Raspailowi popularność, sławę i fortunę.

Biegły bardzo dyagnosta i doskonały chemik wszędzie i zawsze stał w opozycji do wszystkiego, co jest rządowe. Bije się otwarcie, z karabinem w rękę, w 1830 roku; odmawia później krzyża legii honorowej; w procesie pani Lafarge występuje przeciw znakomitemu Orfili i pamiętne są jego słowa, kiedy, zbijając argumenta o znalezienie arszeniku w odgrzebanych szczątkach pani Lafarge, rzuca to sławne wyrażenie, iż „arszenik jest wszędzie i że on, Raspail, podejmuje się znaleźć cząstki tej sławnej trucizny nawet w fotelu szanownego prezydenta przysięgłych!“

Opozycja była w naturze i w charakterze tego człowieka: żadnej władzy nie znosił; darł koty z Thiersem, z Cuvierem, ze wszystkimi. Prześladowany za swe polityczne pisma, stawał się coraz popularniejszym, wybierany na posła do Izby, nigdy prawie nie mógł dosiedzieć do końca swojego mandatu. Dwoma głównymi jego zmorami byli: jezuita i policja. Zdawało mu się, że ich spotykał na każdym kroku, czyhających na jego życie i wolność. Pod koniec życia i w późnej starości przeszedł to nawet w pewien rodzaj zabawnej manii, o czem tysiące rozpowiadają pociesznych anegdot.

Zostawił on wielką fortunę i czterech żyjących synów. Rady lecarskiej udzielał *bezpłatnie*, ale we własnym domu. Przecież każdy z pacyentów, aby otrzymać lekarstwo, musiał się udawać do wskazanej naprzód apteki, która odbierała przepis wprost od Raspaila. Specyalne te apteki dość drogo sprzedawały lekarstwa, a wszelki ich dochód należał w większej części do Raspaila, którego zakład chemiczny dostarczał im potrzebnych ingrediencyj. Tak więc wilk był syty i koza cała!... Doktor bezpłatny ciągnął tem większe zyski, im polityk i filantrop stawał się popularniejszym.

Z czterech synów Raspaila, najstarszy, Benjamin, ur. w r. 1823, jest malarzem i posłem; drugi, Kamil — doktorem; Emil jest chemikiem i dyryguje zakładem wyrobów specyalnych systematu Raspaila; a czwarty, Xawery, ur. w r. 1840 jest lekarzem i zagorzałym zwolennikiem polityki ojcowskiej. W roku 1874 skazany został wraz z ojcem przez sąd przysięgłych na więzienie za ogłoszenie kalendara, który uważano za buntowniczy. Wciągu tego procesu, w którym, jak zwykle, Raspail sam się osobiście bronił, wygłosił on pewien rodzaj pochwały własnego życia, którą można nazwać *spowiedzią*. Są tam dziwne i niesłychane wybryki: humoru, fantazyi i naiwności prawie dziecięcej. Żałuję, że miejsce mi nie pozwala dać czytelnikom moim tłumaczenia tego dziwnego *factum*, bo nie lepiej nie może wyrazić i oznaczyć tej oryginalnej postaci starego demokraty.

Po kilku dniach choroby i bez wielkich cierpień, zgasł spokojnie Raspail w Arcueil, w domu starszego syna, dokąd się przeniósł po śmierci ukochanej mu córki i gdzie mu urządzono pewien rodzaj obserwatorium chemicznego i niewielki ogród botaniczny. Zostawił piękne posiadłości w ziemi i przeszło milion gotówki.

Nazajutrz po zgonie Raspaila skończył życie w Paryżu generał *Cousin-Montauban*, znany pod nazwiskiem hrabiego Palikao. Rowieśnik prawie Raspaila, generał miał bowiem lat 82, hr. Palikao był jedną z wojskowych figur we Francji, które utrzymują niezłomnie starą tradycję galijskiej dzielności. Wyćwiczony w szkole armii algierskiej, gdzie całe przepędził życie i całą przebiegł wojskową karierę, w roku 1860, jako jeden ze starszych dywizjonerów, powołany został do naczelnego dowództwa sił francuskich w sławnej wyprawie na Chiny. Wyprawa ta, prowadzona wspólnie z Anglikami, przedstawiała niemałe trudności, szczególniejsze pod względem zgodnego prowadzenia sił sprzymierzonych a niezawisłych od żadnego głównego naczelnika wyprawy. Prowadzenie wojny na tak odległym krańcu świata, jak Chiny — prze-

ciw państwu takiego jak Chiny ogromu, jakkolwiek to państwo mogło być słabem i bezładnem, jest zawsze ciężkiem i ważnem zadaniem dla naczelnego wodza, szczególnie kiedy ten wódz szczerze musi się posługiwać siłami. W tym względzie generał Montauban dopełnił obowiązku wodza i polityka w całej rozciągłości włożonego nań zadania. Biegle i szczęśliwie przeprowadzona wyprawa skończyła się zawartym chlubnie pokojem w Pekinie...

(Dokończenie nastąpi)

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Świat roślinny w południowej Afryce

przez Dr Ant. Rehmana.

(Dalszy ciąg).

W tym stanie rzeczy Roggeveld jest okolicą dla ludzi i dla zwierząt bardzo nieprzyjazną i wypada ją właściwie uważać za pewien rodzaj formacji przejściowej od pustyni do okolic stepowych. Południowa Afryka zostaje przez większą część roku pod wpływem wiatrów wiejących od strony Oceanu Indyjskiego, które przynoszą parę wodną i tworzą główne źródło wilgoci w tych stronach, dla tego też wschodnie jej wybrzeża są daleko lepiej skrapiane od zachodnich, bo wiatry te, przesuując się ponad wysuszonymi obszarami tracą stopniowo swoją wilgoć. Z tego powodu wyżyna Roggeveld staje się ku zachodowi coraz dzikszą i nieurodzajniejszą i łączy się niespostrzeżenie z pustynią Karroo, a dalej z pustynią Kalichari, zalegającą zachodnie obszary południowej Afryki.

Ale zmienia się przyroda kraju w kierunku północnym, bo tutaj zbliżamy się do okolic międzyzwrotnikowych, gdzie deszcze są stałsze a zasób wilgoci większy. Gorące lato jest tutaj również porą deszczów; mogą one opóźniać się ze swoim przybyciem, ale nie zawodzą nigdy zupełnie. Zima jest tu zupełnie suchą; rosa pada obficie w każdą noc, ale niebo jest zupełnie czyste przez ośm miesięcy, a ukazanie się chmurki na niebie w tej porze bywa tutaj przedmiotem podziwu, tak jak u nas w porze zimowej zjawisko tęczy lub nawałnicy z grzmotami. Deszcze zaczynają padać w miesiącu Grudniu i padają aż do połowy Maja, z wielką stałością. Noce są w tej porze pogodne i chłodne, a poranki—urocze. Na dwie godziny przed południem ukazują się na niebie rozrzucone, drobne, białe chmurki, których liczba i rozmiary zwiększają się stopniowo, łączą się ze sobą w większe grupy, przybierają ciemno-oliwianą barwę i zawiśnięwszy nieruchomie ponad horyzontem, wydają z siebie obfite strugi deszczu. Deszcz pada równocześnie na kilku miejscach, ale chmury nie zakrywają nigdy całego nieba, a pod wieczór rozchodzą się zupełnie; wieczory bywają tutaj również uroczne jak i poranki. Zdarza się jednakowoż niekiedy, że po kilku nadzwyczaj parnych dniach nagle całe niebo się zaciągnie; zrywa się gwałtowny wicher i pędzi przed sobą szare masy chmur; wpośród nieustannych błyskawic i szalnych grzmotów spadają całe potoki wody na ziemię i powstaje nawałnica, która trwa przez noc całą a niekiedy, z małemi przerwami, przez dni kilka, poezem znowu kilkodniowa następuje pogoda.

Jasną jest rzeczą, iż tak obfite zasoby wilgoci nie mogą pozostać bez wpływu na rozwój tutejszej roślinności, a za najważniejszą zmianę wypada przedewszystkiem uważać nagłe ukazanie się drzew na stepach. Jakoż podróżnik posuwający się ku północy zostaje zaraz po przebyciu największej z tutejszych rzek, nazywanej przez kolonistów „Oranje” a przez tubylców „Gariem” uderzony widokiem rozrzuconych po stepie akacyj, których nie widział w czasie monotonnej podróży przez Roggeveld. Różnią się one gatunkowo od akacyj, jaką pozostawiliśmy w Karroo i tworzą po części nizkie

zarosty krzewiaste, albo też rosną w postaci mniejszych karłowatych drzewek rozrzuconych po płaszczynie; ale im dalej ku północy, tem wzrost ich jest bujniejszym, a w niewielkiej ztąd odległości napotyka podróżnik obszerne lasy akacyowe, złożone z okazów zdrowych i wyniosłych. Najbujniejsze zarosty drzewiaste rozwijają się tutaj po brzegach rzek; płyną one głęboko wyżłobionemi korytami, a spadziste ich brzegi i przylegające do nich pochyłości są zazwyczaj pokryte gęszczem akacyj, w pośród których można napotkać kilka gatunków drzewiastych Sumaków i Afrykańską Wierzbę, a konary i gałęzie tych drzew, poplątane zazwyczaj roślinami wiciowatemi z rodziny trojeściowatych, ozdobionemi niekiedy kośćciami różnobarwnych kwiatów, tworzą najpiękniejszą dekorację jasnego zwierciadła wody.

Krzewy i mniejsze drzewka pokrywają także skaliste boki pagórków; występuje tutaj kilka nowych gatunków krzewiastego sumaka, drobniejszych akacyj, Karreebosh (Royena) i wiele innych. Zarosty te są wogóle dosyć urozmaicone, liczba gatunków w skład ich wchodząca znaczna; lecz są to prawie bez wyjątku krzewy drobnolistne i niepozorne, przemawiające zatem, że klimat tutejszy nie sprzyja jeszcze dostatecznie rozwojowi drzew wysokopniowych. Jakoż kilkotygodniowe ulewne letnie nie zdołają zrównoważyć i wynagrodzić szkodliwego wpływu ośmiesięcznej posuchy zimowej. Panującą formacją roślinną są utwory zielne i trawiaste. Jak tylko podróżny opuści zarosty nadbrzeżnych akacyj lub wydobędzie się z pośród skalistych pagórków porośniętych krzewami, dostaje się zawsze na ogromne, z lekką pogiętą płaszczyznę, pokrytą najbujniejszą mieszaniną niskich ziół, ozdobionych różnobarwnem kwieciami, poprzerwaną smugami płowych traw, ponad którymi wznoszą się tu i ówdzie pojedyncze drzewka karłowatych akacyj lub krzewinki sumaka. Niemożliwością jest zapuszczać się w szczegółowy opis roślin w skład tego różnobarwnego kobierca wchodzących, bo niema tutaj ani jednej rośliny, którąby podróżny znalazł z pół ojczystych. Wszystko, co w ręce ujmie, jest dla niego nowem i nieznanem; ale kto widział pierwotne stepy naszego Podola, szczególnie w okolicach bezleśnych, pomiędzy Bohem i Ingulem, ten może mieć wyobrażenie o roślinności tej części Afryki. Pojedyncze części składowe są odmienne; ale wrażenie pozostaje to samo. Jestto step różnobarwny i kwiecisty, którego zieloność odbija mile obok błękitu południowego nieba i budzi w duszy podróżnika uczucie spokoju i swobody.

Pobyty na stepach uważam za najprzyjemniejszy ustęp z całej mej podróży po południowej Afryce, a pogląd ten nie grzeszy indywiduálnością, bo prawie wszyscy inni podróżnicy, którzy zwiedzili tę część ziemi, takie same ztąd wynieśli wrażenie.

Niema może drugiej okolicy na ziemi, którąby tak obfitowała w zwierzyne jak południowa Afryka. Niezliczone gromady lekkich, zgrabnych antylop ukazują się tutaj codziennie na widnokręgu i igrają swobodnie na stepie, niesplószone widokiem podróżnego. Jeżeli strzał kiedy się odezwie i zdradziecka kula, wpadłszy pomiędzy zwierzęta, jedno z nich pozbawi życia, to cała gromada zrywa się i oddala w szalonym pędzie tak długi, dopóki nie straci z oczu wrogiego zjawiska, co gdy nastąpi, odzyskuje dawną swoją swobodę.

W ten sposób przesuwały się w ciągu kilkotygodniowej podróży przed oczyma turysty niezliczone gromady tych zwierząt, a chociaż w ślad za nimi postępują lwy, szakale, hyeny i wielkie pomiędzy nimi czynią spustoszenie; chociaż koloniści tutejsi urządzają corocznie dalekie wyprawy myśliwskie, w czasie których przepędzają po kilka tygodni pod gołym niebem i niszcza corocznie tysiące tych zwierząt,—liczba ich pomimo to nie zmniejsza się wcale. Autor tej pracy był sam świadkiem gromadnych pochodów tych zwierząt. Wejściu jednego południa przesunęło się przed jego oczyma przynajmniej piętnaście tysięcy uroczych *springboków*, a liczba ta nie daje jeszcze wyobrażenia o całości, bo pagórki, zamykające w niewielkiej odległości widnokrąg, zasłaniały przed oczyma widzów całe gromady tych zwierząt. Missyonarz Merensky wspomina o gromadnych pochodach innej antylopy, nazywanej tutaj *blesbokiem*, które miały obejmować około pięć-

dziesięciu tysięcy tych zwierząt; podania czcigodnego missyonarza zostały przez europejskich sportmanów przyjęte z niedowierzaniem; ale autor tej pracy przekonał się, że chociaż pochody takie niecodziennie zdarzają się na afrykańskich stepach, to pomimo tego nie są prostym wymysłem fantazyi.

Zwyczaj palenia traw jest rozpowszechniony na całym obszarze środkowej i południowej Afryki wszędzie, gdzie pierwotni mieszkańcy znajdują się w posiadaniu bydła rogatego. Używali tego sposobu w południowej Afryce od niepamiętnych czasów Kafrowie i Hottentoci, a przejęli go od krajowców koloniści. Palą starą zeschniętą trawę, ażeby młoda prędzej rosła, a zwyczaj ten ma rzeczywiste praktyczne wartości, bo autor przekonał się naocznie, że gdzie stara trawa przez ogień usunięta zostanie, tam młoda ukazuje się o trzy do czterech tygodni wcześniej. — Dlatego pod koniec zimy w miesiącu Sierpniu stepy tutejsze palą się bezustannie, a podróżny, przebywający w tej porze tutejsze okolice, otoczony bywado kołasczerniałami, niekiedy dymiącemi jeszcze płaszczyznami, w nocy zaś łuny pożarów przyświecają mu po drodze. Zapalają trawę zazwyczaj pod wieczór, gdy jest najsuchszą. Jeżeli powietrze jest spokojne, ogień postępuje zazwyczaj powoli, rozszerzając się w półkole; wybuch tylko silniejszym płomieniem, gdy trafi na moczary wyniosłym pokryte szuwarem i ginie około północy, gdy padająca z powietrza rosa zwilży trawę. W ten sposób wypalają się kilkunastomorgowe obszary, a mieszkańcy, chcący zniszczyć wszystką starą trawę, są zmuszeni podkładać ogień cewieczór przez kilka tygodni. Pożary takie nie są niebezpieczne dla ludzi; w czasie podróży nad rzeką Caledon autor tej pracy znajdował się wiele razy otoczony dokoła ogniami. Jednego wieczora paliła się trawa na ośmiu punktach; paliła się wzdłuż drogi o kilka kroków od wozu, a pomimo to ludzie i zwierzęta wyszli w pożogi bez szwanku. Ale zmienia się postać rzeczy, jeżeli zerwie się niespodzianie wiatr w nocy. Wówczas ogień pędzi z szaloną szybkością po płaszczyźnie, a zeschnięta trawa niknie szybko w płomieniach, wydając silny trzask. Porwane podmuchem wiatru i wyrzucone o kilkadziesiąt, a czasem i kilkaset sążni naprzód iskry, padłszy na ziemię zapalają z łatwością trawę i wytwarzają nowe ogniska, które łączą się ze sobą; ogromne obszary stają w jednej chwili w ogniu, a widok płomienistych fali, ponad którymi wznoszą się ciemne słupy dymu rozrzucające po niebie tysiące iskier i drobnych płomyków, tworzą obraz dziki i przerażający, którego wrażenie zostaje podniesione głośnym trzaskiem palącej się trawy i świadomością grożącego niebezpieczeństwa. Ogień rozszerza się we wszystkich kierunkach, a siłę jego nie oprzeć się nie zdoła. Gina w płomieniach całe domowstwa i niezliczone trzody bydła, pędzące tutaj cały swój żywot pod gołym niebem, a ludzie kryją się po rzekach i piwnicach, ażeby życie uratować.

Pożary zrzadzają w tych stronach corocznie wielkie szkody i dlatego w koloniach angielskich podpalanie trawy w noc burzliwą lub zapuszczanie ognia na cudzym gruncie bywa surowo karanem.

(Dokończenie nastąpi).

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— Dnia 9 b. m. umarł w Paryżu najznakomitszy fizyolog współczesny *Klaudyusz* (Claude) *Bernard*. Jestto jeden z kolosów nowoczesnej nauki doświadczalnej; wszystko, czem wzbogacił wiedzę o przyrodzie, mianowicie o organizmie ludzkim, wyprowadził z doświadczeń samodzielnie przedsięwziętych. Urodzony w roku 1813 w St.-Julien, w departamencie Rodanu, po młodzieńczych próbach literackich, właściwy zawód swój umysłowy rozpoczął od medycyny i przez całe życie już w ścisłym z medycyną właściwą związku fizyologiczne zdobył swe utrzymywał. (*Leçons de physiologie expé-*

rimentrale appliquée à la médecine, Introduction à l'étude de la médecine expérimentale). Zajął się zbadaniem różnych procesów organizmu ludzkiego, a przez poznanie ich niezmierną wyświadczył przysługę terapii, t. j. sztuce leczenia chorób. Najznakomitszym z odkryć tego rodzaju było stwierdzenie faktu, że w wątrobie wytwarza się cukier, a nadmiar tego wytworu stanowi osobną, bardzo znaną a zabójczą, chorobę. Zbadał B. cały proces trawienia i wpływ nerwów, tak na trawienie, jak na oddychanie, obieg krwi i działalność wątroby. Do niespożytych zdobyczy naukowych, które się przez Bernarda spełniły, należy zbadanie funkcji trzustki, działania soku pankreatycznego, oraz wpływu nerwu sympatycznego. Nowy w znacznej mierze pogląd na organizm ludzki ustalił się wskutek tych wszystkich odkryć Bernarda. Bardzo rozgłośnie, znanem nawet profanom, a niezmiernie ważnem dla nie-profanów było odkrycie, że krew B. podczas obiegu, w różnych okolicach organizmu nie tylko niejednokrotnie ma skład, ale i niejednokrotnie zachowuje temperaturę — która nieustannie zmianom podlega trawienia i oddychania ulega. Bernard, ukończywszy nauki medyczne w r. 1839, został preparatorem przy Magendie'm, znakomitym fizjologu z drugiego ćwierćwiecza bieżącego stulecia. W roku 1847 objął przy nim katedrę pomocniczą. W roku 1854 został profesorem fizjologii w fakultacie nauk ścisłych; w roku zaś następnym wszedł do Collège de France na katedrę po Magendie'm. W r. 1868 objął professurę w Muzeum Buffonowskim. Na rok przedtem wybrało go Towarzystwo biologiczne paryżskie na swego prezesa. Progi Akademii nauk otworzył się przed nim jeszcze w r. 1854. W 14 lat później Akademia francuska przyjęła go do swego grona jako człowieka powszechnie wziętego i zasługującego. Przez lat trzydzieści Bernard, pracując dla nauki zeskarpował sobie sławę nieposłednią, która go obok Cuviera, Bichata, Gouffroy St. Hilaire'a, Elie de Beaumont'a w gronie uczonych francuskich stawia.

— Od Nowego Roku wychodzi znowu w Warszawie *Ekonomista*, który upadł był w r. 1874 wraz ze śmiercią swego redaktora Somnera. Redaktorem wskrzeszonego czasopisma jest p. Antoni Nagórny. *Ekonomista* wychodzi cotygodniem w poniedziałek i nazywa się przeglądem tygodniowym, ekonomicznym, finansowym i statystycznym. Z dwóch rodzajów wiedzy, zaznaczonych w prospekcie przez Redakcję, wydany, mianowicie jednego *względnie* drugiego *wszerz* rozpościerającego się, *Ekonomista*, jako czasopismo mógł sobie jedynie wybrać i wybrać też ten ostatni: będzie popularyzował wiedzę. Z początkowych pięciu numerów wnosząc, można zadanie to za sumienne podjęte uważać. Spotykamy tutaj artykuły takie jak: *Instytucje przezorności dla robotników i rzemieślników* — rzecz będąca teraz na dobie i nawet urzędownie w zarządzie miejskim Warszawy roztrząsana — o *Finansach Rosyi*, szereg zestawień i wywodów, które dalej ciągnąć się będą (pisane przez p. Egera), *Kwestya drugorzędnych dróg żelaznych w Królestwie Polskiem*. Większych prac teoretycznych, ściśle naukowych, dotychczas *Ekonomista* nie przedstawił. Bardzo, może nazbyt, obszerna część uwiadomiania o stanie czynności i obrotów w różnych instytucjach finansowych ma uczynić *Ekonomistę* potrzebnym i dla *Finanzweltu*, który u nas coraz dokładniej wykształca się w swej istocie. Na pochwałę zasługuje przestrzeganie czystości języka przez redakcję nowego czasopisma. W osobnej rubryce „*Słownictwo*“ podaje ona, i stale podawać będzie, wyrazy polskie lub trafniej spolszczone w miejsce niepolitycznych i niedobrze spolszczonych lub utworzonych. Tak np. zamiast: *Ekonomii politycznej* używa *Ekonomika*, zamiast: *Produkcya, producent, produkcyjny* — *wytwór, wytwórca, wytwórczy*, al par — równia, konsumcya etc. = *spożycie* etc., *pracodawca* = *przedsiębiorca*, *kontrybuent* = *podatnik*, *samopomoc* = *samorada*, *bezrobocie* = *zmowa* i t. d. Powiemy tu tylko, że nie

wydaje nam się szczęśliwem zastąpienie „cyrkulacyi pieniędzy papierowych“ przez *obieg powierczy*.

Przypomnieć należy, iż jednocześnie i we Lwowie wychodzi *Ekonomista*, który posiada debiet w Królestwie i Cesarstwie i na jaknajwiększe rozpowszechnienie, jako pismo żywotnie prowadzone, zasługuje. Stosunki społeczne Galicyi, o ile się przez statystykę i ekonomikę pochwycić dadzą, w *Ekonomiście* lwowskim wyraz dla siebie niejednokrotnie już znalazły. Wysoka niesłychanie cena, 10 rsr., kiedy we Lwowie jest tylko 8 guldenów na rok, przeszkadza, i tak już w zasadzie, ze względu na sam przedmiot, ograniczonej poczytności pisma. Lwowski *Ekonomista* nie można, tak jak warszawskiego, pochwalić za czystość języka: przeciwnie, język tu niekiedy bywa nieznośnym, ale pismo samo w roku zeszłym jeszcze było dobrze redagowane.

W Poznaniu od trzech lat już istnieje wydawnictwo półmiesięczne *Ruchu społeczno-ekonomicznego*, które również w Królestwie prenumerować można.

— Od Nowego Roku *Kronika Rodzinna*, starannie zawsze redagowana, wychodzi w formie książkowym, duże in 8-o, w dwie kolumny. Zeszły taki przedstawia się pokaźnie i ma 32 stronicę druku.

— *Stara Baśń*, Kraszewskiego, została już wyczerpana; Spółka księgarzy warszawskich przygotowuje nowe jej wydanie. Jednocześnie mają być przedrukowane i *Lubonie*, których zapas w księgarniach jest już bardzo mały. Do przedruków firma drukarska Gebethnera w Krakowie przygotowała stereotypy.

— *Początki języka polskiego*. Książka do czytania, ułożona podług stopniowego rozwoju pojęć, mowy i gramatyki przez Władysława Nowickiego, magistra nauk hist.-filologicznych. Warszawa 1877. W drukarni Okręgu Naukowego Warszawskiego, 8-ma mała, str. 201, z drzeworytami. Książka bardzo pożyteczna i prawie już wyczerpana. Jestto racjonalna nauka czytania, wprowadzająca umysł dziecięcy nieznacznie do wnętrza gramatyki, tak, iż czytaniem samem i porównywaniem rzeczy przeczytanych pomiędzy sobą, dziecko praktycznie pierwszych zasad składni nauczyć się może. Litera idzie tu równomiernie i nieodstępnie za umysłem; rozwijając go, sama potem z rozwoju tego korzysta, aby go na wyższy stopień rozumienia myśli i mowy wynieść. Schemat, według którego autor ułożył wzory do czytania, jest umiejętnie obmyślanym; zawiera się w nim całkowity niemal porządek składniowy naszego języka.

Cała nauka dzieli się na *zdania oderwane* i na *ustępy ciągłej treści*, pierwsze do str. 37, drugie od 41 do 172-ej. Niemalżej pracy było potrzeba, aby owe zdania oderwane według pewnego planu rozumnego, jaki im właśnie przewodniczy, ułożyć. Ustępy ciągłej treści, dobrane odpowiednio do potrzeb i sił umysłu dziecięcego, zajmują i nauczają zarazem. Proza mieszana tu jest z poezją. Obok *DIALOGU o obecności Boga*, Hofmanowej, znajduje się piękny zawsze i w świeżości swej niespożyty psalm Kochanowskiego „*Wszelchmoćny Panie* etc.“ Dziecię ma tu także podane wiersze Lenartowicza, bajki Krasickiego i inne. Dobrze byłoby może, gdyby autor, dla objaśnienia i zaciekawienia dzieci, pozaznaczał był nazwiska autorów pod przytoczeniami. W całym tym drugim dziale, rozpadającym się na wzory stylu urywkowego i wzory stylu ciągłego — do tytułu ogólniejszego niewłaściwie może wprowadzono pojęcie ciągłości — wiele wzorków ułożył sam autor, pomimo młodego wieku, znany już jako pedagog umiętny i wysoce wykształcony. Dobrym pomysłem jest wprowadzenie łamigłówek, Zagadek i Szarad, według pewnego stałego sposobu układanych.

Nieznając wszystkich książek do nauki czytania początkowego przeznaczonych, nie możemy nazwać książki p. Nowickiego najlepszą ze wszystkich, ale musimy ją nazwać jedną z najlepszych i jako taką najgoręcej zalecić rodzicom, co zresztą uczyniła już

od siebie autorka pracy: *Książki kolendowe dla dzieci*, w N. 51 i 52 Bl. z r. 1877 pomieszczonej. Nie jeden nauczyciel i wychowawca wdzięczny będzie autorowi za uwagi umyślnie dla wychowawców w końcu książki zamieszczone (od str. 173). W uwagach tych autor wskazuje cel swej książki w usunięciu podwójnej trudności: dobrego zrozumienia tego, co się czyta, oraz nauczania początkowej gramatyki. Za jedynie dobre nauczanie dziecka uznaje nauczanie pogładowe, a jedyny sposób nauczania skutecznego dzieci małych widzi, za przykładem wielu pierwszorzędných, jeszcze starożytnych, powag, w *umiejętnem bawieniu* tych dzieci. Przypomina zasługi Kommissyi edukacyjnej; obszernie mówi o metodzie Froebela; wskazuje główne zasady do nauczania dziecka gramatyki i wreszcie tłumaczy układ swej książki. Całość tych *Uwag dla wychowawców* ma głębsze pedagogiczne znaczenie, niżby to z umieszczenia ich w skromnej książce do czytania dla małych dzieci wniesć było można.

— W Rapperswyli, w Szwajcaryi, umarła w roku zeszłym w 70 roku życia *Karolina Bauer*, jedna ze znakomitszych artystek dramatycznych niemieckich, poślubiona hr. Platerowi. Oprócz wspomnienia niepospolitego talentu scenicznego, który przy piękności oblicza na różnych widowniach niemieckich od r. 1824 gorące uznanie odbierał, pozostawiła po sobie hr. Platerowa pamięć dobrej kobiety, przykładnej matki i żony. Nieboszczka posiadała wcale nieposłednią, o ile z krytyki niemieckiej widzieć, zdolność literacką i w ujmującej formie opowiedziała aktorskie swe przygody w dwóch książkach: *Aus meinem Bühnenleben* i *Komödianten-Fahrten*. Urodziła się w Bruchsalu w Badeńskim w 1807 roku. Pierwszy raz wystąpiła już w czternastym roku życia w Karlsruhe, w sztuce Iflanda *Starzy kawalerowie*. W r. 1824 powołano ją do Berlina, zkład sława jej po całych Niemczech się rozeszła. Odtąd występowała w Dreźnie, Wiedniu, nawet w Petersburgu na scenie tamtejszego teatru Niemieckiego. W r. 1844 porzuciła zupełnie zawód sceniczny. Umiała ona wzruszać w rolach głęboko tragicznych, a rozśmieszać w komedii. Do najlepszych jej ról należały: *Donna Diana*, *Precozo*, *Kättchen von Heilbronn*, *Julia Kapulet* Szekspira. — Przed rokiem 1830 rozmówiany w niej książkę Leopold Koburski, późniejszy król Belgów, chciał ją za małżonkę pojąć, ale względy dynastyczne stanęły małżeństwu temu na przeszkodzie. Wychodzą obecnie pamiętniki pośmiertne Karoliny Bauer. Ludzie, którzy ze sceny ją jeszcze pamiętają, nie mogą się odchwalić cudnie dźwięcznego jej głosu.

— Nareszcie doczekał się *Krasicki* nowego wydania; dzieła jego wyjdą w *Bibliotece najcenniejszych utworów*, Lewentala. Wydanie to będzie zupełniejszem od wszystkich poprzednich, obejmie wszystkie utwory, w których się istotnie człowiek utalentowany, myśliciel i pisarz wpływow przejawiał. Oczywiście, *Zbiór pożytecznych wiadomości*, jako niemający żadnego dziś już znaczenia, prócz historycznego, do wydania tego nie wejdzie; ale zamieszczone zostaną mowy i kazania, które nam osobistość i talent odsłaniają. Codo *Zycotów*, z Plutarcha przyswojonych jako też na wzór jego naśladowanych, byłoby do życzenia, aby tych ostatnich nie usuwano w zupełności. Zwłaszcza porównania czynione przez Krasickiego pomiędzy osobistościami do dziejów nowożytnych należącymi, jak na przykład pomiędzy Alfredem W. i Kazimierzem W., utrzymałyby wypadło. Oddawna już potrzeba nowego wydania pism ks. biskupa Warminskiego, była powszechnie w klasie wykształconej odczuwana; to też zapowiedziana tu edycja mile powitana będzie.

TREŚĆ. Pius IX, Papież, przez Maryę Illicką. — Kobieta rzymska z czasów Cezarów. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Wspomnienie o Grotgerze, (dokończenie). — Nowiny paryżskie, (dalszy ciąg). — Z dzieła przyrody, (dalszy ciąg), przez Dr Ant. Rehmana. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Февраля 1878 года.